



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.

MICHAŁ MORPHY.

Tajemnica Pogromczyni.

Powieść z francuskiego.

17

Wóz przebył bramę więzienia de la Sainte-Chapele. Znajdowano się na miejscu. Drzwiczki zewnętrzne wozu zaczęły się otwierać jedne po drugich. Ferdynand wszedł do grona urzędników i wyrzutków społeczeństwa, włóczęgów i prostytutek. Ginał w tej grupie i niktby nań nie zwracał uwagi. Chyba niekiedy tylko jego wytworna odzież budziła niejaki zaciekawienie. Całą kalwakatę mężczyzn i kobiet wprowadzono do biura tymczasowego.

Jeden z urzędników spisał nazwiska i porozdawał karty wejścia do więzienia. Ferdynand nie mówił ani słowa. Usłyszał, że wymieniono jego nazwisko. Sądził, że będzie badany i że uda mu się wygłosić swoje usprawiedliwienie. Nie, zapytano go o tożsamość osoby i to wszystko. Przyszła kolej na innych!

Nie był u kresu ani swych cierpień, ani upokorzeń. Wszystkie formalności zostały wykonane. Jeden ze straży municypalnej przyłączył się do każdego z zatrzymanych. Trzeba było przejść pieszo dziedziniec Sainte-Chapelle dla dotarcia do Depot de la Prefecture. Ferdynand wzdrygnął się zniechęca. Coś zimnego wsadzono mu na rękę, były to kajdanki. Chciał zaprotestować, ale głos zamarł mu w gardle. Dozorca pociągnął go za sobą. Zaciśnął tylko pięści boleśnie.

W kajdanach, on! z tymi złoczyńcami! Krew uderzyła mu do głowy, a w oczach paliły go łyzy hamowane. Dotarło w końcu do Depot. Ciężka brama żelazna, zaopatrzona w szklane okienko, rozwarła się i zamknęła za więźniem. Podbrygadyer dyżurny przyszedł dokonać kontroli. Wywoływał donośnym głosem nazwiska, a należało odpowiadać imieniem.

— Carboniera! — zawołał nareszcie.

— Ferdynand — odrzekł tenże, odwracając się dla ukrycia wstydu.

Carboniera! To nazwisko rozległo się pod sklepieniem ponurego przedsionka z kamieni.

Młodemu więźniowi zdało się, że wszyscy nań patrzą.

Kontrolę skończono. Podbrygadyer dał znak.

— Wszyscy siadać tam, na ławie!

Więźniowie skierowali się do małej celi, gdzie przebywał dozorca rewidujący.

— Zdjąć obuwie — rzekł — i opróżnić kieszenie do kapeluszy.

Usłuchano biernie.

Ferdynand spojrzał dookoła siebie. Naprost, biuro dyrektora; nieco dalej kancelarya rejestrująca więźniów; w środku, naprost wejścia, oszklona trybuna brygadyera. Z przeciwnej strony tłoczyły się uwięzione kobiety. Szły pokornie, popychane przez załonnice z Marie-Joseph do wnętrza więzienia. Przedsionek, wsparty na filarach kamiennych, był oświetlony słabo. Oddychało się smutkiem i demoralizacją.

Ferdynand, gdy przyszła nań kolej, musiał się poddać rewizji, jak inni. Prowadzono więźniów do oszklonej sali o wysokich okratowanych ścianach.

Sienniki i kołdry były rzucone na daski odjęte od muru, a wiszące przy nim na zawiasach. Tu

układano przybywających w ostatniej chwili przed nadejściem dnia.

Ferdynand musiał się wyciągnąć, jak inni, na sienniku, pełnym robactwa. Kłatwy i słowa cyniczne — oto, co usłyszał zrazu. A ponadto milczące rozpacz, bóle dojmujące. Noc przeszła ciężka, ponura, a była to przecie noc ślubna! O rozczarowanie!

Nieszczęśliwy pytał się, czy to wszystko było rzeczywistością. Niestety, tak! Sen, pełen grozy, nie sięga nigdy takiego stopnia przerażenia. W końcu dzień nadszedł. Dzwonek elektryczny wezwał do wstawania. Rzucono więźniom kromki chleba z otrębami. Poczem rozdano miski chudej zupy. Ferdynand ani dotknął tej nikczemnej strawy.

— Złe pan robisz — rzekł doń sąsiad — po południu dadzą panu tylko trochę suchej jarzyny. I to będzie wszystko.

— Nie jestem głodny — odparł młody więzień. Czekał niespokojnie, ażeby się dostać do urzędnika. Około dziewiątej kazano wyjść więźniom dla poprowadzenia ich do kancelaryi rejestrowej.

Wyciągnięto przyrzady.

Ferdynand pozwolił się zmierzyć, tłumiąc oburzenie.

— Kiedy się dostanę do inkwidenta? — zapytał urzędnika.

Ten, dość uprzejmy, raczył odpowiedzieć:

— Sprawa o kradzież! Zaprzeczasz pan, czy tak? Tak! Odeślą więc pana do Mazas. Trzeba liczyć co najmniej trzy miesiące więzienia tymczasowego.

Młody człowiek nic nie rzekł na to. Cóż począć? Porwany został w koła maszyny, miażdżące ludzi bez litości. Z kancelaryi rejestrowej odstawiono go do celi.

Miano wzgląd na przyzwoitość jego odzieży i oszczędzono mu upokorzenia wielkiej sali, w której przebywa po kilkaset nędzarzy. Zamknięty w swojej celi, ikać zaczął.

— Marcelo — szeptał — Marcelo!

Niebawem przybyło po niego, ażeby go zawozić do sali, pełnej policyantów, którzy wpatrywali się weń tak, ażeby wyrzucić sobie w pamięci jego portret. Następnie, w kilka minut potem, oddano go w ręce jednego z dozorców, który go spętał i wyprowadził na zewnątrz więzienia. Dokąd? Czy do inkwidenta?

Dziedziniec Sainte-Chapelle pełen był ludzi. Ferdynand spuścił głowę, przybity wstydem. Jakies schody spostrzegł nagle przed sobą. Wtedy zrozumiał, jaki był cel wycieczki. Na jednych z drzwi widniał wymalowany białymi głoskami napis: „Fotografia“. Ileż hańby znieść wypada!

Usiadł na starym fotelu, obdartym przez kilka pokoleń zabójców, złodziei i nieszczęśliwych. Po dokonaniu tej formalności nastąpiły inne, bardziej jeszcze upokarzające. Wrócił do Depot tak samo, jak przyszedł. Dano mu teraz dwie godziny spokoju po tym nużącym marszu, który przynębia moralnie najwytrzymalszych... Takim jest uwięzienie. Opłakane i tragiczne, ale nadewszystko — mechaniczne. Człowiek staje się rzeczą, numerem. Traci poczucie własnej godności i jaźni. Ferdynand był u szczytu rozpacz. Dalsza walka była niepodobieństwem. Z kim walczyć? Nic począć nie można!

Czekać! — ten wyraz streszcza filozofię więźnia. Była chwila, że uległ gwałtownemu napadowi żalu. Walął pięścią w mury. Ale echo jego rozpacz nie wyszło poza obrys celi. Cella więzienna! Okropność i zgroza! Trumna w obszernym grobie. Lecz zamiast śmierci, która spoczywa, życie, które tłumia!

Jak się wydobyć z tej jaskini? Jaki klucz otworzyć ją może? Jedyne: Samobójstwo! Ferdynand zaczął przemyślać o śmierci, tej najwyższej ucieczce przed niesprawiedliwością i hańbą...

Dzwonek elektryczny dał się słyszeć w galeryi. Wywoływano numer 39. Dozorca przyszedł otworzyć Ferdynandowi.

— Do instrukcyi! — rzekł.

Jeszcze żandarm, jeszcze okowy!

Tym razem musiał przechodzić pod sklepieniami piwnicznymi, tchnącymi wilgocią i smutkiem, na tyły Depot. Kazano mu usiąść i czekać kolei. Kolej przyszła. Wszedł do pokoju, w którym stało biurko podwójne. Z jednej strony sędzia, z drugiej sekretarz, młody człowiek. Pomiędzy biurkami stół i krzesło. Dano mu znak, ażeby usiadł. Dozorca zajął miejsce przy drzwiach. Sędzia spojrzał na więźnia wzrokiem obojętnym.

— Jesteś pan posadzony o kradzież ośmdziesięciu tysięcy franków.

— Panie sędzio, jestem ofiarą fatalności, która mnie gubi, ale...

— Dosyć. Znam tę piosenkę. Wszyscy podsądni są ofiarami fatalności. Fatalność ma twarde plecy. Tylko, że się mści, odsyłając swoje ofiary do Mazas... Dziś i pan spać tam będziesz.

— Ależ panie sędzio, przez litość...

— Nie chcesz się pan przyznać?

— A więc pan przypuszcza...

— Przypuszczam, że pan zbyt często narażasz się na długie więzienie prewencyjne. Proszę to podpisać.

— Ależ, pozwólcie mi się bronić.

— Zaczekaj pan, dopóki się nie rozpocznie śledztwo w sprawie pańskiej. To nastąpi w przyszłym miesiącu.

Pisarz odczytał odpowiedzi Ferdynanda, streszczone w tych słowach: „Nie ukradłem, oskarżenie jest fałszywe“, a Ferdynand je podpisał. Dozorca nałożył mu kajdanki i odstawił do Depot. Ledwie mógł oddychać. Jakto, i to się ma nazywać sprawiedliwością? Taki oto znudzony i markotny sędzia decydował w ten sposób o losie istoty ludzkiej?

Przed wieczorem zawezwano Ferdynanda po raz ostatni. Zaprowadzono go do kancelaryi, gdzie wywieszono tablicę z jego nazwiskiem. Spostrzegł dyrektora.

— Panie dyrektorze — zapytał — do kogo się mam zwrócić? Jestem niewinny.

Dyrektor odszedł, wzruszając ramionami.

— Ośmdziesiąt tysięcy niewinnych przechodzi rocznie przez nasze ręce!

Taką była jego odpowiedź. Cekał wóz więzienny. Więzień wszedł do środka. Niebawem Ferdynand został odstawiony do Mazas. Rozpoczęły się formalności. Rewizya, miara, rejestr, kąpiel, kostium areштanta, zanim jego odzież nie wyjdzie z dezynfekcyi, w końcu wszelkie tortury moralne i fizyczne. Nieszczęśliwy doznał uczucia pewnej ulgi, znalazłszy się nareszcie w celi. Ale wkrótce strach go ogarnął.

Wypadnie mu pozostać w tej dziurze wilgotnej i głuchej przez dwa miesiące, zanim jego niewinność wyjdzie na jaw pewnego dnia przed sądem. I jeszcze, jeżeli wyjdzie! Wszelkie pozory były przeciwko niemu. Znowu tej nocy oka nie zmrużył. O czym myślał? O rodzicach, o żonie? Nie! O śmierci!

Mazas liczyło przeszło sześć tysięcy samobójstw udanych lub zapobieżonych. Człowiek czuje się takim drobniakiem w tym olbrzymim pałacu niedoli, gdzie tłucze się tysiąc dwustu skazańców, że prawie zawsze zostaje zmiażdżony pod ciężarem wła-